

**ALDOUS HUXLEY**  
**„Nowy Wspaniały Świat”**

Przysadzisty szary budynek o zaledwie trzydziestu czterech piętach. Nad głównym wejściem napis: „Ośrodek Rozrodu i Warunkowania w Londynie Centralnym”, na tablicy zaś wryte hasło Republiki Świata: „Wspólność, Identyczność, Stabilność”. (...) (s.2)

Wsparty o inkubatory podawał studentom (a ołówki gryzmoły z pośpiechem) krótki opis nowoczesnego procesu zapładniania; najpierw powiedział, rzecz jasna, o jego chirurgicznym etapie wstępnym: o „zabiegu, któremu poddajemy się chętnie dla dobra Społeczeństwa, nie mówiąc już o gratyfikacji w wysokości półrocznej pensji”. Następnie omówił zwięźle technikę utrzymywania wyodrębnionego jajnika przy życiu i zapewnienia jego funkcjonowania. Potem przeszedł do podania optymalnej temperatury, stopnia zasolenia, kleistości, wspominał o naturze płynu, w którym przechowuje się wyodrębnione dojrzałe jaja; prowadząc swych podopiecznych do stanowisk roboczych pokazał im, jak się ów płyn wydobywa z próbki; jak się go kropla po kropli wprowadza na specjalnie ogrzane szkiełka mikroskopowe; jak się zawarte w nim jaja testuje co do odchyień, przelicza i przenosi do porowatego pojemnika; jak (tu zademonstrował przebieg tej czynności) pojemnik ów zostaje zanurzony w ciepłym roztworze ze swobodnie pływającymi plemnikami - tu podkreślił, że najmniejsze stężenie może wynosić sto tysięcy na centymetr sześcienny; jak, po dziesięciu minutach, zbiornik zostaje wyjęty z płynu, a jego zawartość ponownie przebadana; jak w przypadku, gdy któreś z jaj pozostało nie zapłodnione, zanurza się je ponownie, a potem w razie potrzeby raz jeszcze; jak zapłodnione jaja wracają do inkubatorów, gdzie alfy i bety pozostają aż do zakończenia butlacji, gdy tymczasem gammy, delty i epsilon wydobywa się po trzydziestu sześciu godzinach i poddaje procesowi Bokanowskiego. (s.3)

(...)

Jednakże któryś ze studentów zadał w swej głupocie pytanie, w czym tu korzyść.

- Mój drogi chłopcze - dyrektor gwałtownie odwrócił się ku niemu. - Czyż ty nie dostrzegasz? Czy nie dostrzegasz? Uniósł dłoń; twarz miała uroczysty wyraz: - Proces Bokanowskiego to jeden z podstawowych czynników stabilności społecznej!

*Podstawowych czynników stabilności społecznej.*

Standaryzacja mężczyzn i kobiet; identyczne osobniki. Cała niewielka wytwórnia obsadzona personelem z jednego zbokanowizowanego jaja.

- Dziewięćdziesiąt sześć identycznych osób przy dziewięćdziesięciu sześciu identycznych maszynach! - Głos aż drżał radosnym uniesieniem. - Teraz panujemy nad sytuacją. Po raz pierwszy w dziejach. - Przeczytał hasło planetarne: „Wspólność, Identyczność, Stabilność”. Naprawdę wielkie słowa.

- Gdybyśmy umieli bokanowizować bez ograniczeń, cały problem byłby rozwiązany. Rozwiązany przez standaryzowane gammy, identyczne delty, jednolite epsilon. Miliony jednakowych bliźniaków. Zasada produkcji masowej wreszcie zastosowana w odniesieniu do biologii.

- Niestety jednak - dyrektor potrząsnął głową - bokanowizować bez ograniczeń nie możemy. (s.4-5)

- Zmniejszanie liczby obrotów na minutę - wyjaśniał pan Foster. - Surogat krąży wolniej, przepływa zatem przez płuca w większych odstępach czasu, dostarczając embrionowi mniej tlenu. Nie ma to jak niedobór tlenu, to najlepiej utrzymuje embrion poniżej poziomu. - Znowu zatarł ręce.

- Ale dlaczego chce pan utrzymywać embrion poniżej poziomu? - zapytał ze szczerą naiwnością jakiś student.

- Osioł! - zawołał dyrektor, przerywając długą chwilę milczenia. - Czy nie przyszło ci do głowy, że embrion epsilon, jeśli ma. epsilonową dziedziczność, musi mieć warunki epsilonowe?

Najwidoczniej nie przyszło mu do głowy. Zmieszał się.

- Im niższa kasta - powiedział pan Foster - tym mniej tlenu. Pierwszym naruszonym narządem jest zawsze mózg. (...)

- Jednakże u epsilonów - nader trafnie zauważył pan Foster - nie potrzeba nam ludzkiego rozumu.

Nie potrzeba i nie uzyskuje się go. Ale mimo iż umysł epsilon osiąga dojrzałość w wieku lat dziesięciu, ciało epsilon pozostaje niezdolne do pracy aż do osiemnastego roku życia. Długi okres zbędnej i zmarnowanej niedojrzałości. Gdyby można było przyspieszyć rozwój fizyczny do rzędu szybkości dojrzewania, powiedzmy, krowy, jakaż ogromna oszczędność dla Społeczeństwa!

- Ogromna! - mamrotali słuchacze.

Entuzjazm pana Fostera był zaraźliwy. (s. 9-10)

(...)

Na półce dziesiątej rzędy przyszłych chemików ćwiczą tolerancję łożu, sody kaustycznej, smoły i chloru. Pierwszy z grupy dwustu pięćdziesięciu embrionów, w przyszłości inżynierów statków kosmicznych, przesunął się właśnie obok znaku tysięcy setnego metra na półce trzeciej. Specjalne urządzenie nadawało zbiornikom stały ruch obrotowy.

- To aby udoskonalić ich zmysł równowagi - wyjaśnił pan Foster. – Dokonywanie napraw w przestrzeni na zewnątrz statku jest zajęciem dość trudnym. Gdy znajdują się normalnej pozycji, spowalniamy im krążenie, tak iż niemal giną z głodu tlenowego, gdy zaś są w pozycji „do góry nogami”, zdwajamy przepływ surogatu. Uczą się więc kojarzyć tę pozycję z uczuciem komfortu; i rzeczywiście, są naprawdę szczęśliwi tylko wtedy, gdy stoją na głowach. (s.11)

(...)

Pana Fostera pozostawiono w dziale wybutlacji. Dyrektor RiW oraz jego studenci weszli do najbliższej windy, ta zaś wyniosła ich na piąte piętro. „Żłobki. Działy Warunkowania Neopawłowskiego”, głosiła tabliczka. (...) Gdy wszedł dyrektor RiW, pielęgniarki wyprężyły się w postawie zasadniczej

- Wyłożyć książki - polecił krótko.

W milczeniu pielęgniarki wykonały rozkaz. Książki zostały sprawnie wyłożone pośród wazonów z różami - rząd bajek dziecięcych zachęcająco otwartych na wesoło pokolorowanych obrazkach zwierząt, ryb, ptaków.

- Przywieźć dzieci.

Wybiegły z pokoju i powróciły po minucie lub dwóch, każda pchała przed sobą coś w rodzaju wysokiego wózka kelnerskiego, na którego czterech półkach z drucianej siatki siedziały ośmiomiesięczne niemowlęta, wszystkie jednakowe (najwyraźniej z jednej grupy Bokanowskiego) i wszystkie (jako że należały do kasty delt) odziane w ubranka koloru khaki.

- Umieścić je na podłodze.

Rozładowano wózki.

- Odwrócić je w stronę kwiatów i książek.

Odwrócone, dzieci nagle zamilkły, a potem zaczęły się czołgać na czworakach ku tym zestawom olśniewających barw, ku owym tak wesołym i kolorowym kształtom na białych stronicach. Gdy były już blisko, słońce wychyliło się zza przesłaniającej go przez chwilę chmury. Róże rozpromieniły się jak od nagłego wybuchu wewnętrznej namiętności; lśniące stronice książek zdały się nasycać nowym, głębokim znaczeniem. Od

niemowlęcych szeregów dobiegły ciche okrzyki podniecenia, gulgoty i świergoty rozkoszy. - Świetnie! - zatarł ręce dyrektor. Jak na zamówienie.

Najszybsze z niemowląt prawie już dopełżyły do celu. Drobne ręce wyciągały się niepewnie, dotykały, chwytaly, obrywały płatki wspaniałych róż, mięły barwne stronicie książek. Dyrektor czekał, aż wszystkie niemowlęta oddadzą się radosnym zajęciom. Potem powiedział:

- Teraz patrzcie uważnie! - I dał znak uniesieniem ręki.

Przełożona pielęgniarek, stojąca przy tablicy rozdzielczej po drugiej stronie sali, nacisnęła małą dźwignię. Nastąpił gwałtowny wybuch. Coraz głośniej i głośniej wyła syrena. Dzwony alarmowe biły jak oszalałe. Dzieci wzdrygnęły się, rozwrzeszczały; buzie wykrzywiło przerażenie.

- A teraz - krzyknął dyrektor (bo hałas był ogłuszający) - teraz wpajamy lekcję poprzez łagodne elektrowstrząsy.

Znów dał znak ręką i przełożona nacisnęła drugą dźwignię. Krzyki dzieci zmieniły nagle ton. Ostрым, spazmatycznym wrzaskiem dawały obecnie wyraz czemuś rozpaczliwemu, wręcz obłąkańczemu. Drobne ciała kurczyły się, sztywniały, nóżki drgały niczym pociągane przez niewidzialne druty.

- Podłączmy do prądu cały ten fragment podłogi - krzycząc objaśniał dyrektor. - Na razie wystarczy - dał znak pielęgniarcze.

Wybuchy ustały, dzwony umilkły, wycie syren powoli zamierało. Zesztywniałe, wijące się ciała rozluźniły się, a to, co uprzednio było płaczem i wyciem obłąkanych na pozór niemowląt, przybrało znów postać normalnych krzyków zwykłego przestachu.

- Dać im na powrót kwiaty i książki.

Pielęgniarki wykonały; jednakże postawione przed różami i na sam widok wszystkich tych wesołych obrazków kotka, kogutka ku-ku-ryku i czarnej owieczki mee-mee niemowlęta kurczyły się z przerażenia; ich wrzaski nasiliły się.

- Obserwujcie - mówił triumfująco dyrektor. - Obserwujcie.

Książki i głośny hałas, kwiaty i elektrowstrząsy - już w niemowlęcym umyśle człony tych par są kojarzone, po dwustu zaś powtórzeniach takiej lub podobnej lekcji ulegną nierozzerwalnemu spojeniu. Co człowiek złączył, przyroda niezdolna jest rozłączyć. Wyrosną z „instynktownym”, jak mówią psychologowie, wstrętem do książek i kwiatów. Odruchy trwale uwarunkowane. Z książkami i botaniką dadzą sobie spokój na całe Życie.

- Zabrać je - zwrócił się dyrektor do pielęgniarek.

Dzieci odziane w khaki i ciągle jeszcze rozwrzeszczane załadowano do wózków kelnerskich i wywieziono; pozostała po niemowlętach woń kwaśnego mleka i jakże upragniona cisza. Jeden ze studentów uniósł rękę; choć rozumie w pełni, dlaczego ludzie z kasty niższej nie mogą tracić społecznego czasu na książki, a także rozumie, iż zawsze pozostawałoby ryzyko, że przeczytają coś, co mogłoby w niepożądany sposób odwarunkować któryś z ich odruchów, to jednak... no więc, nie rozumie sprawy z kwiatami. Po co kłopotać się psychologicznym uniemożliwianiem deltom upodobania do kwiatów?

Dyrektor RiW cierpliwie wyjaśniał. Jeśli powoduje się u niemowląt okrzyki przerażenia na widok róż, to dzieje się to na gruncie wyższych racji polityki ekonomicznej. Jeszcze nie tak dawno temu (przed mniej więcej stu laty) gammy, delty i epsilony warunkowano na upodobania do kwiatów - kwiatów między innymi, a przyrody w ogóle. Chodziło o to, żeby pragnęli oni przy każdej okazji wyjeżdżać na wieś, co zmuszałoby ich do korzystania ze środków transportu.

- Czy nie korzystali ze środków transportu? - zapytał student.

- Owszem, bardzo obficie - odparł dyrektor RiW - Ale poza tym z niczego. Pierwioski i krajobrazy, stwierdził, mają pewną wielką wadę: są darmowe. Miłość przyrody nie napędza fabryk. Zdecydowano usunąć miłość przyrody, przynajmniej wśród kast niższych; usunąć miłość przyrody, ale nie skłonność do korzystania ze środków transportu. Było bowiem rzecz jasną sprawą istotną, by jeżdżono na wieś, pomimo niechęci do niej. Problem polegał na znalezieniu racji korzystania ze środków transportu ekonomicznie bardziej zasadnej niż byle upodobania do pierwiosnków i pejzaży. Znaleziono właściwą. - Warunkujemy masę na niechęć do przyrody - zakończył dyrektor. Równocześnie jednak wykształcamy w nich upodobanie do sportów na łonie natury. Dbamy przy tym o to, by sporty te wymagały użycia skomplikowanych przyrządów. W ten sposób korzystają zarówno ze środków transportu, jak i z artykułów przemysłowych. Stąd te elektrowstrząsy.

- Rozumiem - powiedział student i zamilkł pełen podziwu. (s.13-15)

(...)

- Wszyscy są równi pod względem fizykochemicznym - powiedział Henryk sentencjonalnie. - A poza tym nawet epsilony są niezastąpione.

„Nawet epsilony...”; Lenina przypomniała sobie nagie moment. gdy jako dziewczynka w wieku szkolnym obudziła się w środku nocy i po raz pierwszy doświadczyła świadomie owego szeptu, który nawiedzał wszystkie jej sny. Znowu ujrzała promień księżyca, rząd małych białych łóžeczek; raz jeszcze usłyszała łagodny głos, który mówił (słowa trwały w niej po dziś dzień, nie zapomniane, nie do zapomnienia po tylu całonocnych repetycjach):

„Nawet epsilony są użyteczne. Nie moglibyśmy się obejść bez epsilonów. Każdy pracuje na każdego. Każdy jest nam niezbędny...” Lenina wspomniała swój wstrząs lęku i zdziwienia, swe rozważania przez pół bezsennej godziny, aż do chwili gdy te nieustanne powtórzenia ukończyły jej umysł, wygładziły i ukradkiem zaczął się wślizgiwać sen.

- Sądzę, że epsilonom nie przeszkadza, że są epsilonami - powiedziała na głos.

- Oczywiście, że nie. No bo jak? Nie wiedzą, jak to jest być czymś innym. Nam by to przeszkadzało, rzecz jasna. No ale my jesteśmy inaczej warunkowani. Poza tym mamy inne dziedziczenie.

- Cieszę się, że nie jestem epsilonem - powiedziała z przekonaniem Lenina.

- A gdybyś była epsilonem - stwierdził Henryk - twoje uwarunkowanie kazałoby ci być równie zadowoloną z tego, że nie jesteś betą czy alfą. (...)Ciekawe, kto to był - mężczyzna czy kobieta, alfa czy epsilon... - Westchnął. Potem zakończył stanowczym tonem: - Tak czy owak jednego możemy być pewni: kimkolwiek był, był za życia szczęśliwy. Każdy jest obecnie szczęśliwy.

- Tak, każdy jest obecnie szczęśliwy - zawtórowała Lenina. Przez dwanaście lat słyszeli te słowa powtarzane sto pięćdziesiąt razy w ciągu nocy. (s.49 – 50)

(...)

- Chcę spokojnie popatrzeć na morze – powiedział [Bernard] - Nie można nawet popatrzeć przy tym obrzydliwym hałasie.

- Ależ to bardzo ładne. A poza tym ja nie chcę patrzeć.

- Ale ja chcę - upierał się. - Dzięki temu czuję się, jakbym... - zawahał się na chwilę, szukając w myśli odpowiednich słów - jakbym był bardziej s o b ą, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Bardziej samodzielnym, a nie tym absolutnie wtopionym w całość trybem jakiejś maszyny. Nie tylko komórką w ciele społecznym. Czy ten widok nie rodzi w tobie podobnego odczucia?

Lenina szlochała.

- To straszne, straszne - powtarzała w kółko. - I jak ty możesz mówić w ten sposób? Że nie chcesz być częścią ciała społecznego. Przecież każdy pracuje dla każdego. Każdy jest nam niezbędny. Nawet epsilon...

- Tak, tak, wiem - zakpił Bernard. - „Nawet epsilon są użyteczne”. A ja, do cholery, chciałbym nie być użyteczny.

To bluźnierstwo zaszokowało Leninę.

Bernard zaprotestowała pełnym zdumienia, zmartwionym głosem. - Jakże ty możesz?

- Jak ja mogę? - powtórzył w zamyśleniu Bernard. - Nie, prawdziwy problem polega na czymś innym: Jak to jest, że nie mogę, a raczej (bo przecież w końcu wiem dobrze, dlaczego nie mogę), co by było, gdybym mógł, gdybym był wolny, nie zaś zniewolony przez warunkowanie.

- Ależ Bernard, mówisz straszne rzeczy.

- Lenino, nie chciałabyś być wolna?

- Nie wiem, o co ci chodzi. Jestem przecież wolna. Wolna, żeby się cieszyć życiem. Każdy obecnie jest szczęśliwy.

- Tak - roześmiał się - „każdy obecnie jest szczęśliwy”. Zaczynamy to przekazywać dzieciom od piątego roku ich życia. Ale czy nie chciałabyś być wolna do szczęśliwości na jakiś inny sposób? Powiedzmy, na twój własny sposób na przykład; nie na sposób innych.

- Nie wiem, o co ci chodzi - powtórzyła. Potem zwracając się ku niemu prosiła: - Bernard, wracajmy już; nie znoszę tego miejsca.

- Nie lubisz być ze mną?

- Ależ, Bernard, oczywiście że lubię! Ale to jest okropne miejsce.

- Sądziłem, że tu będziemy bardziej... bardziej razem, tylko my, morze i księżyc. Bardziej razem niż w tym tłumie, a nawet w moim mieszkaniu. Nie rozumiesz tego?

- Niczego tu nie rozumiem - oświadczyła stanowczym głosem, zdecydowana nie pozwolić na naruszenie swego nierozumienia. - Niczego. A już najmniej tego - ciągnęła innym już tonem - że nie zażywasz somy, kiedy nachodzą cię te twoje ponure pomysły. Zapomniałbyś wtedy o nich. I zamiast czuć się smutno, byłoby ci wesoło. Naprawdę wesoło - powtórzyła i pomimo całej niepewności i zdumienia w oczach uśmiechnęła się z wyrazem obiecującej, zmysłowej przymilności. (s.60-61)

- Pracuje bardzo dobrze - wtrącił z obłudną życzliwością Henryk.

- Wiem. Dlatego tym bardziej zasługuje na surowe potraktowanie. Jego wysoki poziom intelektualny wymaga odpowiedzialności moralnej. Im większe zdolności, tym większa skłonność do odchyień. Lepiej, żeby jeden cierpiał, niżby wielu zostało zdeprawowanych. Niech pan rozważy rzecz na zimno, panie Foster, a zobaczy pan, iż nie ma potworniejszego przestępstwa nad nietypowe zachowanie. Morderstwo oznacza śmierć tylko jednostki, a czymże w końcu jest jednostka? - szerokim gestem wskazał rzędy mikroskopów, probówek, inkubatorów. - Możemy stworzyć nową bez najmniejszego wysiłku, możemy ich stworzyć dowolnie wiele. Nietypowość zagraża czemuś więcej niż tylko życiu jednostki; ona godzi w Społeczeństwo samo. Tak, w Społeczeństwo samo - powtórzył. - No, idzie właśnie. Bernard wszedł do sali i zmierzał ku nim (..) (s.98)

„Nowa teoria biologii”, brzmiał tytuł rozprawy, którą Mustafa Mond właśnie kończył czytać. Siedział przez chwilę, marszcząc w zamyśleniu brwi, potem wziął pióro i napisał w poprzek strony tytułowej: „Reprezentowane przez autora matematyczne podejście do pojęcia celu jest nowe, wysoce oryginalne, lecz heretyckie, a dla obecnego porządku społecznego niebezpieczne i potencjalnie wywrotowe. Nie publikować”. Ostatnie zdanie podkreślił. „Autora obserwować. Może zajść konieczność przewiezienia go do Morskiej Stacji

Biologicznej na Świętej Helenie”. Szkoda, pomyślał kładąc podpis. Robota mistrzowska. Ale gdy się raz zacznie uznawać wyjaśnienia w kategoriach celu... to nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Tego typu idea może rozwarunkować co bardziej niestabilne umysły kast wyższych - pozbawić je wiary w szczęśliwość jako Dobro Najwyższe, a w zamian rozbudzić w nich przekonanie, iż cel jest gdzieś dalej, gdzieś poza sferą aktualnego bytowania ludzi; że celem życia nie jest podtrzymanie dobrobytu, lecz jakieś tam pogłębianie i doskonalenie świadomości, jakieś poszerzanie wiedzy. Co zresztą, pomyślał zarządca, może być prawdą. Ale prawdą nie do przyjęcia w obecnych warunkach. Ponownie wziął pióro i słowa „Nie publikować” podkreślił jeszcze jedną linią, grubszą i bardziej czarną niż poprzednia; potem westchnął. „Cóż by to była za radość - pomyślał - gdybym nie musiał doglądać tej szczęśliwości!” (s.117)

Tymczasem Dzikus obchodził niespokojnie pomieszczenie, z niedbałym zainteresowaniem przypatrując się książkom stojącym na półkach, rolkom ścieżki dźwiękowej i szpulom czytatorów zgromadzonych w ponumerowanych gablotach. Na stole pod oknem leżał opasły tom oprawny w miękką, czarną imitację skóry i ozdobiony ogromnymi złotymi T. Wziął księgę i otworzył. MOJE ŻYCIE I DZIEŁO, przez PANA NASZEGO FORDA. Wydało ją w Detroit Towarzystwo Krzewienia Wiedzy Fordowskiej. Kartkował niespiesznie tom, tu przeczytał zdanie, ówdzie akapit i właśnie dochodził do wniosku, że księga go nie interesuje, gdy drzwi się otwarły i rezydujący zarządca na Europę Zachodnią wszedł żwawym krokiem do pokoju.

Mustafa Mond uściśnął dłoń wszystkim trzem, lecz odezwał się tylko do Dzikusa.

- A więc nie podoba się panu zbytnio cywilizacja? - rzekł.

Dzikus spojrział na niego. Uprzednio zdecydowany był kłamać, awanturować się, pozostać obojętnym, lecz zachęcony pogodnym, inteligentnym wyrazem twarzy zarządcy, postanowił mówić prawdę, wprost i bez ogródek.

- Nie - potrząsnął głową.

Bernard drgnął i spojrział z przerażeniem. Co sobie pomyśli zarządca? Być uznanym za przyjaciela człowieka, który stwierdza, że nie lubi cywilizacji, stwierdza otwarcie, i to do zarządcy - to wprost straszne.

- Ależ John... - zaczął. Spojrzenie Mustafy Monda sprawiło, że zamilkł upokorzony.

- Oczywiście - przyznał Dzikus - jest parę miłych rzeczy. Ta cała muzyka w powietrzu...

- Niekiedy tysiąc dźwięcznych strun mi w uszach brzmi, niekiedy głosy.

Twarz Dzikusa pojaśniała od nagłej radości.

- Czytał pan to? - zapytał. - Myślałem, że tu w Anglii nikt nie zna tej książki.

- Prawie nikt. Jestem jednym spośród bardzo nielicznych. Rozumie pan, to jest zakazane. Ponieważ jednak ja tutaj ustanawiam prawa, więc i ja mogę je łamać. Bezkarne, panie Marks - dodał, zwracając się do Bernarda. - Czego pan, obawiam się, nie może czynić.

Bernard jes zcze głębiej zapadł w otchłań swej nędzy.

- Ale dlaczego to jest zakazane? - zapytał Dzikus. Podekscytowany spotkaniem człowieka, który czytał Szekspira, natychmiast zapomniał o wszystkim innym.

Zarządca wzruszył ramionami.

- Bo jest stare, to zasadniczy powód. Rzeczy stare nam tu niepotrzebne.

- Nawet gdy są piękne?

- Zwłaszcza wtedy, gdy są piękne. Piękno wabi, a my nie chcemy, żeby ludzi wabiły rzeczy stare. Chcemy, żeby lubili tylko to, co nowe.

- Ale to nowe jest takie głupie i okropne. Te sztuki, w których nie tylko helikoptery latają tam i nazad i czuje się pocałunki aktorów. - Skrzywił się. - Kozły i małpy! - Tylko w słowach Otella znajdował należyty wyraz dla swej pogardy i nienawiści. (s.145-146)

### **UZASADNIENIE MUSTAFY MONDA DLA nowej rzeczywistości:**

- Zastanawia mnie - rzekł Dzikus - po co wam oni, jeśli przyjąć, że możecie z tych waszych butli uzyskać wszystko, co wam się podoba. Dlaczego nie zrobicie każdego alfą podwójnym-plusem?

Mustafa Mond roześmiał się.

- Bo nie chcemy, żeby nam popodrzynali gardła - odparł. - Wierzimy w szczęśliwość i stabilność. Społeczeństwo samych tylko alf nie uniknęłoby nędzy i niestabilności. Wyobraźmy sobie fabrykę obsadzoną przez alfy, to jest przez zróżnicowane, nie powiązane ze sobą jednostki o dobrej dziedziczności i tak uwarunkowane, by mogły (w pewnych granicach) dokonywać swobodnych wyborów i przyjmować na siebie odpowiedzialność. Wyobraźmy sobie tylko! - powtórzył.

Dzikus spróbował sobie wyobrazić, bez większego jednak efektu.

- To byłby absurd; człowiek wybutlowany i uwarunkowany jako alfa zwariowałby, gdyby mu przyszło wykonywać pracę epsilon półkretyna; zwariowałby albo by zaczął tłuc wszystko dokoła. Alfy można w pełni socjalizować, ale tylko pod Warunkiem, że da się im pracę alf. Tylko od epsilon można oczekiwać właściwego epsilon poświecenia, to zaś z tego prostego powodu, że dla niego nie są to poświecenia, lecz działania po linii najmniejszego oporu. Warunkowanie wyznaczyło mu tor, po którym ma się poruszać. Inaczej nie potrafi; jego los jest z góry ustalony. Nawet po wybutlacji pozostaje niejako w butli – w niewidzialnej butli wpojonych mu w fazie embrionalnej i w dzieciństwie zachowań. Każdy z nas rzecz jasna - kontynuował zarządca w zamyśleniu - idzie przez życie w jakiejś butli. Jeśli jednak jesteśmy alfami, nasze butle są, relatywnie rzecz biorąc, ogromne. Bardzo byśmy cierpieli, gdyby nas przenieść do mniejszej przestrzeni. Nie można przelewać surogatu szampana kast wyższych do butli kast niższych. Teoretycznie jest to oczywiste. ale zostało potwierdzone także w praktyce. Eksperyment cypryjski rozwiął wszelkie wątpliwości. - Co to było? - zapytał Dzikus.

Mustafa Mond uśmiechnął się.

- Cóż, można by to nazwać eksperymentem rebutlacji. Zaczął się on A.F. 473. Zarządcy oczyścili Cypr ze wszystkich mieszkańców i zasiedlili go specjalnie dobraną grupą dwudziestu dwu tysięcy alf. Dano im wszelkie wyposażenie rolnicze i przemysłowe i pozostawiono, by sobie radzili o własnych siłach. Wynik potwierdził wszelkie teoretyczne oczekiwania. Ziemia była źle uprawiana, we wszystkich fabrykach strajki, prawa lekceważono, polecenia nie wykonywano; wszyscy wyznaczeni do gorszych prac intrygowali w celu uzyskania lepszych stanowisk, a ci na lepszych stanowiskach również intrygowali, by utrzymać swoje pozycje. Po sześciu latach mieli już pierwszorzędną wojnę domową. Gdy dziewiętnaście tysięcy mieszkańców zginęło, pozostałe przy życiu trzy tysiące jednowymownie uchwaliły petycję do zarządców świata z prośbą o ponowne objęcie przez nich wyspy. Co też uczyniono. Taki był koniec jedynej w świecie społeczności złożonej z samych alf.

Dzikus westchnął z głębi piersi.

- Populacyjne optimum - mówił Mustafa Mond - modelowane jest na proporcjach góry lodowej: osiem dziewiątych pod wodą, jedna dziewiąta ponad.

- A czy ci pod wodą są szczęśliwi?

- Bardziej niż ci znad powierzchni. Bardziej niż na przykład twoi tu obecni przyjaciele.

- Pomimo tej strasznej pracy?

- Strasznej? Oni tak nie sądzą. Przeciwnie, lubią ją. Jest łatwa, jest dziecinnie prosta. Nie wymaga wysiłku umysłu ani mięśni. Siedem i pół godziny lekkiej, niewyczerpującej pracy, potem racja somy, gry, seks bez ograniczeń i czuciofilmy. Czegóż jeszcze mogliby chcieć? No tak - przyznał - mogliby chcieć skrócenia czasu pracy. A my rzecz jasna moglibyśmy im to dać. Technicznie rzecz biorąc, nie ma żadnego problemu ze skróceniem ~godzin pracy kast niższych do trzech czy czterech godzin dziennie. Ale czy przez to staną się szczęśliwsi? Otóż nie. Ponad półtora wieku temu przeprowadzono odnośny eksperyment. W całej Irlandii wprowadzono czterogodzinny dzień pracy. Wynik? Niepokój i ogromny wzrost spożycia somy. Te trzy i pół godziny dodatkowego czasu wolnego tak dalece nie przyczyniały się do szczęśliwości, że ludzie czuli potrzebę ucieczki od nich. Urząd wynalazków jest zawałony projektami minimalizacji pracy. Są tego całe tysiące - Mustafa Mond wykonał wzgardliwy ruch dłonią. - A dlaczego ich nie wdrażamy? Dla dobra pracowników; byłoby okrucieństwem obarczać ich jeszcze większym czasem wolnym. Podobnie w rolnictwie. Moglibyśmy uzyskać syntetycznie dowolny produkt, gdybyśmy tylko zechcieli. Ale nie chcemy. Wolimy zatrudniać jedną trzecią populacji w rolnictwie. Dla ich własnego dobra, gdyż uzyskiwanie żywności z gleby pochłania więcej czasu niż produkowanie jej w fabryce. A poza tym musimy myśleć o naszej stabilności. Nie potrzeba nam zmian. Każda zmiana zagraża stabilności. To dalszy powód, dla którego tak niechętnie ~wprowadzamy nowe wynalazki. Każde odkrycie w naukach teoretycznych jest potencjalnie wywrotowe; nawet naukę musimy niekiedy traktować jak ewentualnego wroga. Tak, nawet naukę. (148-150)

- Sztuka, nauka... wydaje się, że płacicie nader wysoką cenę za tę szczęśliwość - powiedział Dzikus, gdy zostali sami. - Jeszcze coś?

- No... oczywiście religia - odrzekł zarządca. - Przed wojną dziesięcioletnią był tak zwany Bóg. Ach, zapomniałem. Pan przecież wie wszystko o Bogu, nieprawdaż?

- No więc... - zaczął z wahaniem Dzikus. Chciał coś powiedzieć o samotności, o nocy, o płaskowyżu bielejącym w świetle księżyca, o przepaści, skoku w czarną otchłań, o śmierci. Chciał mówić - ale brakowało słów. Nawet tych Szekspira.

Tymczasem zarządca przeszedł na drugą stronę pokoju i otwierał wielki sejf wpuszczony w ścianę między półkami. Uchyliły się ciężkie drzwi.

- Jest to temat - rzekł sięgając do ciemnego wnętrza - który zawsze nadzwyczaj mnie interesował. - Wydobył gruby czarny tom. - Tego pewnie nigdy pan nie czytał.

Dzikus wziął księgę.

- *Pismo Świete Starego i Nowego Testamentu* - odczytał na głos ze strony tytułowej.

- Ani tego. - Mała książeczka pozbawiona okładki.

- O naśladowaniu Chrystusa.

- Ani tego - wyjął następny tom.

- Doświadczenia religijne. William James.

- A mam ich jeszcze wiele - powiedział Mustafa Mond wracając na fotel. - Całą kolekcję starożytnych nieprzyzwoitości. Bóg w mroku, Ford na widoku - wskazał ze śmiechem swą bibliotekę: półki pełne książek, rzędy szpul czytatorów i rolek ścieżki dźwiękowej.

- Ale skoro pan wie, czemu pan nie mówi ludziom o Bogu? - zawołał z oburzeniem

Dzikus. - Dlaczego nie da im pan tych książek?

- Z tego samego powodu, dla którego nie udostępniamy im *Otella*: są stare; mówią o Bogu sprzed wieków. Nie o Bogu dzisiejszym.



- Bóg się nie zmienia.
- Ale ludzie tak.
- Jakież to ma znaczenie?
- Największe - odpad Mustafa Mond. (...) (s.153)